№ 2. Warszawa, dnia 29 Grudnia (10 Stycznia) 1884/5 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Sonet noworoczny.

Szczęśliwi, którzy dzisiaj w ogólnym pochodzie,
Pierwsze stawiają kroki na drodze życiowej,
I śniąc o wiecznej wiośnie, o wiecznej pogodzie,
Jak zwiastuna dni jasnych witają Rok Nowy.

Szczęśliwi, którzy w obec klęsk i upokorzeń,
Nie upadli na duchu, w drodze nie ustali,
Lecz wyrwawszy z serc głębi samolubstwa korzeń,
Cel mają swój wytknięty, i idą wciąż dalej.

Ale stokroć szczęśliwsi i podziwu godni,
Którzy z czystem sumieniem dobiegli do mety,
I z wiarą tem gorętszą, im świat bluźnił chłodniej:

Ci widząc kres pielgrzymki, nie mówią: niestety!...
Bo zbrojni swą zasługą i spoczynku głodni,
Bez trwogi w jasność wieczną przechodzą z planety.

Emilia.

LOSY DWÓCH NIEWIAST.

SZKIC Z DZIEJÓW SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

W WIEKU SZESNASTYM

PRZEZ

L. S. W.

(Dalszy ciąg.)

Dwoje dzieci — syn Jan i córka Beata — było owocem tego związku, a oboje przyszli na świat pomiędzy latami 1500 i 1510. Mamy powody przypuszczać, że stosunek Zygmunta z Telniczanką trwał aż do jego wstąpienia na tron polski i zapewne ulegając namowom i strofowaniom biskupów, król musiał go zerwać ostatecznie, wydając Katarzynę zamąż za Jędrzeja Kościeleckiego, podskarbiego koronnego. Nie byli to wielcy magnaci panowie na Kościelcu, należący co najwyżej do zamożnej szlachty małopolskiej, dobrego wprawdzie i starego rodu. Pan podskarbi, poślubiając Katarzynę, pragnął widocznie, zaskarbić sobie względy króla i zapewnić protekcyą dworu. Wpływom duchowieństwa i wyrzutom sumienia królewskiego należy też przypisać przeznaczenie małego Jana na sługę kościoła. Obdarzony, według obyczaju owego czasu, już w dzieciństwie beneficyami kościelnemi, w wieku młodzieńczym otrzymał święcenia kapłańskie, a niebawem biskupstwo wileńskie, potem poznańskie, pierwsze w koronie po krakowskiem. Dzieje nazywają go „Janem z książąt litewskich"; umarł młodo, przed rokiem 1540, przekazując swoje majątki i spuściznę siostrze Beacie. Imię to niezwykłe i niezbyt używane znaczy „szczęśliwa" lub „błogosławiona": nadano je dziecku może jako dobrą wróżbę, dla przebłagania gniewu Boskiego i zapewnienia niejako szczęścia dziewczynce — wszak i dziś jeszcze lud uważa wybór imienia za rzecz ważną, wpływającą na przyszłe losy dziecka i tak bywało od wieków a nawet dawniej więcej zwracano uwagi na właściwe znaczenie imion, obecnie w znacznej części zapomniane i zaniedbane. Nie sprawdziła się jednak pomyślna wróżba imienia: Beata w dalszem swem życiu bynajmnjej szczęśliwą nie była; przeciwnie, smutne losy jej życia splotły się w historyą niezwykłą, a jednak prawdziwą, przygód i cierpień głośnych i dramatycznych.

Córka Telniczanki wyrosła na pannę okazałą. Chowała się po części przy matce, w domu Kościeleckich, po części na dworze Zygmunta, zapewne już po jego owdowieniu, za czasów Bony, która nie była zbyt surową dla tego widomego przypomnienia przeszłości.

Prawdopodobnie zapatrując się na królową

przejąwszy się jej wpływem, Beata urobiła sobie charakter, w którym łączyły się cechy charakteru Bony — egoizm, duma, przebiegłość, pociąg do intryg, chciwości i chłód serca. Długie lata spędziła w panieństwie, zapewne przebierając między konkurentami, bo miała już lat około trzydziestu, gdy nareszcie poślubiła księcia Eliasza Ostrogskiego. Pan ten, wyznający religią grecką, zwany zwykle przez historyków Ilią, był starszym synem słynnego hetmana Konstantego, zwycięzcy pod Orszą i w trzydziestu dwóch innych potyczkach, którego legat papieski porównywał do starożytnych królów rzymskich, pisząc o nim do papieża, iż jest „sprawiedliwym, jak Numa Pompiliusz, a mężnym, jak Romulus". Ostrogscy wywodzili ród swój od udzielnych książąt ruskich Rurykowiczów, a mianowicie od Daniela, księcia Halicza, a potem króla Rusi. Był to ród najbogatszy wtedy w państwie litewskiem: siedziba książąt w Ostrogu wyglądała na rezydencyą monarszą, roztaczali przepych królewski, trzymali dwór liczny i okazały, otaczali się chętnie ludźmi uczonymi i duchowieństwem ruskiem, łącząc i godząc wybornie miłość kraju z niezachwianem przywiązaniem do wiary przodków.

Hetman Konstanty zmarł w 1533 roku, a syn i dziedzic jego Ilia ożenił się z Beatą dopiero na początku 1539 roku. Wspaniałe wesele sprawił Zygmunt I swej córce na zamku krakowskim, były gonitwy i turnieje, w których wziął udział nowożeniec, potykając się dzielnie z królewiczem czyli raczej już wtedy „młodszym królem" Zygmuntem Augustem. Niedługo jednak trwało pożycie małżonków: wkrótce po przybyciu ich do Ostroga, zmarł książę Ilia w sierpniu 1539 roku. Zaledwie w pół roku po ślubie Beata została wdową, a we trzy miesiące po zgonie męża, wydała na świat córkę, 19 listopada tegoż roku, w dzień św. Elżbiety, której imię nadano jej, powszechnym wtedy obyczajem, gdy niemowlęta same sobie „przynosiły" na świat imiona. Dziecię to słynęło później z głośnych i smutnych przygód; nazywano ją używaną wówczas spieszczoną formą jej imienia — Halszką lub z czeskiego Eliszką.

Układem z r. 1541, dobra Ostrogskich podzielone zostały między małoletnią Halszką, księciem Konstantym Wasilem, drugim synem hetmana i spadkobiercą zmarłego Ilii, oraz Beatą, która zdołała sobie zapewnić u nieboszczyka znaczne zapisy. Bogata już przedtem w skutek szczodrobliwości królewskiej i spadku po bracie, młoda wdowa powiększyła teraz jeszcze swoje dostatki. Zdaje się, że chciwość została teraz główną jej namiętnością, bo o powtórnych związkach małżeńskich nie pomyślała, zajęta cała wychowaniem córki. Jakie było to wychowanie — szczegółowo nie wiemy; okazało się tylko później, że młoda Halszka wyrosła na istotę słabego umysłu i bierną, uległą w zupełności matce, we wszystkiem jej posłuszną, a własnej woli nie mającą. Taką też niewątpliwie pragnęła ją widzieć Beata, aby panować zawsze nad jej umysłem i używać dowolnie przypadłej dla niej w udziale części dziedzictwa. W tym celu było dla Beaty rzeczą najważniejszą wydać stosownie i podług swej własnej woli Halszkę zamąż za takiego człowieka, który byłby powolnem narzędziem w ręku matki i odstąpił jej część majątków żony. Beata miała silne poparcie i sprzymierzeńca we wszechwładnej Bonie, a przez nią i na króla Zygmunta Augusta, który był głównym opiekunem Halszki na mocy odwiecznego na Litwie obyczaju, zapewniającego opiekę monarchy osieroconym córkom magnatów.

Zaledwie Halszka doszła do lat czternastu, już ze wszystkich okolic Litwy i Polski zaczęli ściągać konkurenci, dobijając się ręki pięknej i bogatej dziedziczki wielkiego rodu. Beata, snać nie widząc śród nich żadnego po swojej myśli, odprawiała wszystkich z kwitkiem, odsyłając zręcznie do króla, jako głównego opiekuna, król zaś postępował jak chciały Beata i Bona. O uczucia i skłonność samej Halszki nikt nie troszczył się, gdyż nie było to w obyczaju owych czasów, a zresztą Beata niewątpliwie niedozwalała córce poznać bliżej ani pokochać kogoś sobie miłego.

Takie postępowanie jej z dorastającą już córką nie podobało się księciu Konstantemu Wasilowi, który jako stryj i drugi po królu opiekun Halszki, chciał także w sprawie zamęścia synowicy mieć głos, do którego nie dopuszczała go Beata. Może też i dumny a samowolny i od zarzutu chciwości, pomimo swych bogactw, niecałkiem wolny magnat miał własne widoki na dobra Halszki; dość, że i książę Konstanty postanowił wyszukać męża dla synowicy. Wybór jego padł na Dymitra Teodorowicza, księcia Sanguszkę na Zasławiu, który ród swój wywodził od Lubarta Gedyminowicza, a więc od książąt panujących litewskich i uważał się za spokrewnionego z królewskim domem Jagiellonów. Był nadto dalekim krewnym Ostrogskich. Równy był więc pochodzeniem Halszce i Beacie, posiadał znaczne dobra, ujmującą powierzchowność i zalety rycerskie, gdyż pomimo młodego wieku, zdołał już odznaczyć się chlubnie i w kilku potyczkach z Tatarami i, jak świadczy Górnicki, uwolnił dużo jeńców z niewoli tatarskiej. Popierany przez księcia Konstantego, Dymitr zwrócił się także do króla, który tym razem odpowiedział listownie, że nie ma nic przeciwko małżeństwu Halszki z Sanguszką lub z kimkolwiek innym, byleby tylko oblubieniec był równego rodu i związek został zawarty nieinaczej, jak za zgodą samej księżniczki.

Działo się to w 1553 roku, a więc w ostatnich już latach przebywania w Polsce Bony; widać też istotnie z tej odpowiedzi królewskiej, że Zygmunt August nie zostawał już pod wpływem matki, która dotychczas działała stale w myśl Beaty.

W skutek tak silnego poparcia, Beata musiała dać Dymitrowi wstęp do zamku ostrogskiego, gdzie zamieszkiwała (książę Konstanty przebywał wtedy stale w Dubnie) i zdaje się niewątpliwem, że młodziutka Halszka pokochała Dymitra, chociaż przeczyli temu później stronnicy Beaty, na których świadectwie opiera się nieco jednostronne i niezupełnie prawdziwe opowiadanie Górnickiego o wypadkach, które teraz przedstawić mamy. Sama Beata już niemal przyjęła Dymitra, bo dała mu nawet na piśmie przyrzeczenie, że wyda za niego córkę. Zdawało się więc, że sprawa rycerskiego Sanguszki była na najlepszej drodze, gdy raptem powstało jakieś nieporozumienie między ks. Konstantym i Beatą, z błahego podobno powodu, że książę miał ganić postępowanie bratowej. Z prawdziwie niewieścią zaciekłością postanowiła rozgniewana Beata odprawić popieranego przez księcia konkurenta i zaprzestała go przyjmować. Oburzony i stroskany ks. Dymitr nie mógł zrozumieć, dlaczego rozłączono go z ukochaną i odebrano wszelką nadzieję. Beata wspominała o nim dumnie i pogardliwie, mianując „panem starostą czerkaskim", może tem dając do zrozumienia, że mąż jej córki powinien posiadać tytuł nieco znaczniejszy niż tę skromną godność, którą piastował Dymitr. Ostatecznie Sanguszko udał się o pomoc do ks. Konstantego Wasila i ten z nim razem przybył do Ostroga. Czy dostali się do zamku przemocą, jak skarżyła się później Beata przed królem, czy też za jej zgodą, jak twierdzili obrońcy Dymitra, trudno dziś rozstrzygnąć stanowczo. Zasługuje wszelako na uwagę i przechyla szalę na stronę ostatniego przypuszczenia ta okoliczność, zaznaczona przez obrońców Sanguszki i inne źródła spółczesne, że orszak książąt Konstantego i Dymitra składał się tylko z 80 kozaków dworskich, wówczas gdy pod rozkazami księżnej Beaty w zamku ostrogskim było około tysiąca załogi! Nie tak więc łatwo było wedrzeć się przemocą do warownego zamku o tak licznej załodze; walki zaś żadnej i przelewu krwi nie było. Zdaje się więc prawdopodobnem, że księżna Beata zgodziła się sama wpuścić raz jeszcze Dymitra do zamku, może w tym celu, aby dać mu ostateczną odprawę i wymódz zwrot wzmiankowanego powyżej swego zobowiązania, ale nie chciała widzieć ks. Konstantego, który przebrany towarzyszył Sanguszce. Gdy tedy goście byli już na moście zwodzonym, a ks. Ostrogskiego poznano, Beata kazała most podnieść, ale było już zapóźno: książęta z orszakiem wpadli do miasta i zamku, a ks. Konstanty, rozpędziwszy tych wszystkich, którzy mu w drodze stali, zabrał do siebie klucze od bram miejskich i zamkowych i zaprowadził w Ostrogu swój zarząd. To było niewątpliwie gwałtem, ale dopuścił się go ks. Konstanty Ostrogski, nie zaś ks. Dymitr Sanguszko, na którego później wszystko zwalono.

O tem, co zaszło później, również wiadomości są niezgodne i sprzeczne. Ks. Konstanty żądał zbyt może natarczywie od Beaty, aby rękę córki oddała Dymitrowi, a sam konkurent usiłował ją zmiękczyć i skłonić, wywodząc zasługi swego rodu i malując wymownie swoją miłość ku Halszce. Beata stale odmawiała, płakała i mdlała. Zniecierpliwiony Ostrogski wykrzyknął nareszcie: „nie będziemy cię już więcej prosili" i kazał przywołać księżniczkę. Młodziutka Halszka, wylękniona i chwiejna, zapytana przez stryja i Dymitra, czy chce zostać żoną tego ostatniego, nie mogła zdobyć się na stanowczą odpowiedź, lecz zdała się na wolę matki. Wtedy nastąpiła oburzająca scena: gwałtowny książę Ostrogski porwał synowicę za rękę i oddawał ją Dymitrowi, łącząc ich dłonie; Beata ciągnęła córkę za drugą rękę ku sobie i tak rozrywano księżniczkę, w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, a gdy śród tego szamotania się Beata upadła zemdlona wyniesiono ją i zamknięto, a ks. Konstanty kazał przywołać księdza, aby natychmiast dał ślub młodej parze. Gdy jednak ksiądz zabrawszy się do ceremonii, zapytał Halszkę o przyzwolenie, wystraszona i chwiejna księżniczka, obawiając się matki, odpowiedziała, że nie ma woli zaślubić Dymitra. Ksiądz przerwał wtedy obrzęd odwołując się do przepisów kościelnych i radził odłożyć rzecz do jutra, a może księżniczka namyśli się inaczej i przystanie. Ks. Konstanty słuchać tego nie chciał i ofuknąwszy księdza słowami: „nie do rady cię tu wezwano, mości księże, ale żebyś czynił co kazano", stanął sam przy oblubienicy i sam (!) za nią odpowiadał. Tak obrzęd doprowadzono do końca, a potem zastawiono ucztę weselną, podczas której Halszka ciągle płakała, a Beata była nieobecną, zamknięta i pilnowana w swoim pokoju.

W tem opowiadaniu stronników Beaty niewszystko może jest prawdą, jak np. odmowa samej Halszki, jej płacz i odpowiadanie za nią sa-

mego stryja. Według innych bowiem źródeł, Halszka, kochając Dymitra, nie wzbraniała się bynajmniej, lecz dała chętnie przyzwolenie i Sanguszko poślubił ją i uwiózł za jej zgodą. Kronika czeska wspomina nadto, że ślub nie jeden ksiądz dawał, ale dwaj — łaciński i ruski, gdyż ks. Dymitr był wyznania greckiego.

Bądź co bądź, chociaż zakochani byli w swojem prawie, pragnąc połączyć się związkiem małżeńskim i chociaż opór Beaty był zbyt zaciętym i nierozumnym uporem, takie małżeństwo było istotnie cokolwiek gwałtownem z uwagi na to, że choćby z powodu nieletności, nawet dziecinnego prawie jeszcze wieku, Halszka, według praw ówczesnych, zarówno jak dzisiejszych, bez zezwolenia matki nie mogła rozporządzać swą ręką.

Po ślubie, według jednych źródeł, Dymitr uwiózł Halszkę na Ukrainę do Kaniowa, według innych zaś, nowożeńcy pozostali w zamku ostrogskim. Działo się to w sierpniu 1553 roku, gdy Halszka nie miała jeszcze nawet skończonych lat czternastu!

Księżna Beata, czy to umknąwszy z zamknięcia, czy dobrowolnie przez szwagra wypuszczona, udała się natychmiast do Krakowa ze skargą do króla na ks. Dymitra Sanguszkę, o to, że na dom jej napadł, gwałtownie porwał i uwiózł jej córkę, a na ks. Konstantego Wasila — że ją z zamku ostrogskiego wypędził i takowym zawładnął. Królowa Bona, oraz liczni krewni i przyjaciele Beaty poparli jej skargę i Zygmunt August niezwłocznie rozkazał posłać obu obwinionym książętom pozwy, aby stawili się przed sądem królewskim osobiście, na termin 15 stycznia przyszłego 1554 r. w Knyszynie wyznaczonym.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kołyska i trumna.

Z jednego dla cię drzewa ciosają, człowiecze,
Kołyskę, gdyś dziecięciem, kiedyś starcem trumnę,
Z jednego źródła rozkosz w twoje serce ciecze,
I rozpaczy cierń rani — twoje czoło dumne.

Pośród doliny, pośród równiny,
Dąb stał stuletni wysoki —
Wiekiem pochyły, rzucał cień miły,
Spoglądał w strumień głęboki.

Zrodził się człowiek i radosnemi
Rzucił po niebie oczami;
O! jakże błogo dziecku na ziemi,
Dajcie mi, dajcie żyć z wami!

Pośród doliny, pośród równiny,
Gałęź dębową zrzucili,
Z gałęzi gibka, wnet jest kolebka —
A w niej dziecina już kwili.

* * *

Pośród doliny, pośród równiny,
Dąb dwuwiekowy wysoki,
Wiekiem pochyły, rzucał cień miły,
Spoglądał w strumień głęboki.

Umierał człowiek. Oczy smutnemi,
Patrzał na ziemię tę jasną:
A! chociaż wiele cierpiał na ziemi,
Jakże mu żegnać ją straszno!

Pośród doliny, pośród równiny
Gałęź dębową zrąbali —
Trumnę zrobili, zwłoki wrzucili —
Człowieka w niej pochowali.

A. L.

CYGANIĄTKO

POWIEŚĆ

PRZEZ

MICHAŁA WOŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

To przywitanie Ziemby z Burkiem, źle widocznie wpłynęło na ojca Eustachego. Nie mógł na te czułości patrzeć spokojnie i wymknął się z celi po cichu.

Minęła chwilka zaledwie a w drzwiach tejże samej celi ukazała się postać Macieja a za nim głowa przeora klasztoru.

Maciej aż się za czoło schwycił widząc tak zmienionego bardzo Ziembę.

— Chłopcze — zawołał — co się z tobą stało? Czemuś opuścił nas, po coś uciekł? Wszyscy tęsknimy za tobą.

— Czy i ona? — spytał Ziemba.

— Kto?

— Wasza królowa, Cyganiątko, Marynia.

Maciej zrozumiał teraz dopiero wszystko, o tem więc co się stało w Mielnowie nie rozpowiadał Ziembie, ale za to rozpowiadał mu dzieje wszystkich kur czubatych, krówki pstrokatej i całego gospodarstwa na pustkowiu.

Ziemba słuchał całego opowiadania z największem zajęciem, od czasu do czasu uśmiechał się nawet, ale gdy Maciej zaproponował mu powrót, smutnie głową kiwnął oświadczając, iż tego nie uczyni i że najprzyjemniejszem dla niego miejscem pobytu jest miejsce w którem się obecnie znajduje.

Bóg wie nie jakie argumenty wynajdywał Maciej, aby przełamać upór poety. Wszystko to jednak było naprożno.

Burek w dyspucie zdawał się także przyjmować udział. Podniósł ogon do góry i co chwila rozumne swe oczy przenosił z twarzy Ziemby na Macieja.

— Mój Boże, jakże się ja jej w Mielnowie pokażę?

— Komu?

— Cyganiątku. Gdy wyjeżdżałem powiedziała mi: proszę mi się bez Ziemby nie pokazywać. Patrzaj na śmierć zapomniałem, ona nawet dała mi i list do ciebie na wypadek gdybym cię spotkał, szukam cię już od bardzo dawnego czasu, od dwóch miesięcy i gdyby nie Burek nigdybym cię był nie znalazł.

— Ona pisze list do mnie? — przerwał poeta.

— Zaraz ci go odnajdę. Wyobraź sobie co to za zmyślne stworzenie to nasze psisko...

— Dajcie ten list Maciejú...

— Ile razy wybierałem się w drogę aby ciebie odszukać, Burek gwałtownie chciał ze mną jechać, odpędzałem go długo, aż w końcu wziąłem ze sobą; ślad twój zginął mi tutaj; przypuszczałem, że jesteś w mieście, ale wczoraj dopiero po całodniowej niebytności, Burek przybiegł, zaczął tarmosić mię za ubranie i przyprowadził aż tutaj. A powiadają, że psy duszy nie mają.

— List, na miłość Boga list! — drżąc cały wołał Ziemba. Gdy Maciej flegmatycznie przeszukiwał wszystkie swoje kieszenie, bawiąc go swem opowiadaniem, na które prawie nie zważał.

W końcu list się znalazł, schwycił go Ziemba drżącemi rękami, kopertę szybko rozerwał i czytać zaczął. Trwało to krótką bardzo chwilę bo i list nie był długi, zawierał tylko te słowa:

„Potrzebnym pan jesteś, przyjeżdżaj, o to prosi Cyganiątko."

Kwestya powrotu była zadecydowaną. Chory jeszcze Ziemba, zerwał się na równe nogi a chwiejąc się na nich chciał się co prędzej ubierać, co prędzej jechać. Maciej tłomaczył mu, że nie ma nic pilnego, że dosyć jeszcze czasu na wszystko, ale Ziemba o ile poprzednio upierał się przy pozostaniu na miejscu, o tyle teraz natychmiast chciał udać się w drogę. Żegnał gorączkowo wszystkich, przeora, mnichów, którzy go w chorobie pielęgnowali a najdłużej zatrzymał się w celi ojca Eustachego:

— Słuchaj ojcze — szepnął zniżając się do ramienia mnicha — mówiłeś mi niedawno, że miałem matkę i miałem ojca. Mówiłeś, że oni już pomarli, będę się za nich modlił, ale mi już o nich więcej nie wspominaj, nie chcę wiedzieć czy mam takie lub owakie nazwisko, dobrze mi z mojem i z niem też umrzeć pragnę.

Zakonnik gwałtownie schwycił za głowę Ziembę do piersi przycisnął gorąco i w powietrzu krzyżyk nad nim uczynił.

Dłuższem nieco było pożegnanie Macieja z ojcem Eustachym. Rozmowa jaką mieli z sobą sam na sam, do głębi wzburzyła starego Macieja, który z samotnej celi wyszedł prawie drżący.

Przed furtą klasztorną stała już zaprzągnięta bryczka, do której wsiadł Ziemba podtrzymywany przez Macieja i wkrótce znikł w tumanie kurzu. Jedne tylko oczy widziały go długo jeszcze, jedne uszy przysłuchiwały radosnemu szczekaniu Burka, biegnącego przy bryczce, a były to oczy ojca Eustachego, który z eremu mógł widzieć daleki pas drogi ciągnący się w stronę południową.

W Mielnowie tymczasem od chwili, w której gospodarstwo z rączek własnych wypuściła Marynia, wszystko nie szło takim trybem, jak iść było powinno. Alfred pracował bardzo, wytężał wszystkie swoje siły, a mimo tego klęska szła po klęsce. Zdawaćby się mogło, że natura sama chciała wypróbować siły tego, który się wziął do pracy.

W Rumszance były pustki. Julia z Gustawem nazajutrz po ślubie, wyjechali zagranicę i tylko od czasu do czasu nadchodzące listy, do pozostawionego w majątku rządcy o nadesłanie pieniędzy, ze stempli pocztowych pozwalały się dowiadywać, gdzie nowożeńcy przebywali. Najdłużej widocznie ugaszczał ich Hamburg, ztamtąd bowiem nadeszło aż kilka listów a między innemi i list do Maryni z prośbą o nadesłanie pieniędzy.

Rzecz dziwna, Cyganiątko tak chętnie spieszące zazwyczaj z pomocą tym wszystkim, którzy od niej czegokolwiek bądź żądali, tym razem żądanie przyjęło sucho i odmówną przesłało odpowiedź.

Skutkiem tego i podróż zamierzona na rok cały przez nowo zaślubioną parę, skrócić się musiała do kilku miesięcy. Julcia i Gustaw powrócili tedy do Rumszanki, ona zadąsana, on dziwnie roztargniony i jeszcze mniej podobny do tego Gustawa, któregośmy poznali na początku tego opowiadania. Za nimi również przybyła cała kolekcya darmozjadów, którzy nie mając nic innego do roboty kontenci byli, że znajdą przynajmniej jakiś kąt w nudnym, jak się wyrażali, kraju polskim, gdzie się można będzie zabawić.

Gustaw stracił wreszcie samowiedzę swoich czynów, olśniony zamorskim światem, dał się przekonać Julii, że szczytem szczęścia na ziemi jest użycie. Zapomniał, że Rumszanka nie należała do kategoryi tych majątków, które nie mają w sobie kopalni złota, że dochody jej wyczerpać się w końcu muszą, a nadmierne wydatki obdłużyć majątek, który i tak do tej chwili do niego nie należał. Julia z wydętemi wargami okazującemi niezadowolenie, spoglądała na wszystko co polskie tym lekceważenia pełnem okiem, z jakiem niestety zbyt często spotykać się mamy sposobność wśród naszych „nieobecnych”.

Siedzieć w kraju musi chyba ten, komu braknie pieniędzy i wtedy uważanym być może za nieszczęśliwego w całem znaczeniu tego wyrazu.

Jakże też bardzo nieszczęśliwą, czuła się Julia. Niezadowolnienie to manifestowało się wiecznie chmurnem obliczem i kaprysami, które zakochany mąż zadowolnić zawsze pragnął.

Ziemia polska szeroka, chleba na niej dużo, rąk mało, ale zabraknąć go na niej może dla tych co wszystko z niej wziąć pragną nic nie dając w zamian. Nic dziwnego też, że i w Rumszance zaczęło braknąć, tem więcej, że i po okolicy chodziły wieści, że Rumszanka tylko symulacyjnie jest własnością Gustawa i że Alfred ze swojej schedy nic jeszcze nie dostał. Wieści te psuły kredyt i sprawiały to, iż interesowani przychodzili po objaśnienie do Alfreda, który im prawdy nie skrywał.

Położenie w Rumszance stawało się coraz gorsze, coraz bardziej wedle opinii Julii kompromitujące, szczególniej też przez wzgląd na tę gromadkę młodzieńców, którzy u stóp jej palili swoje ognie uwielbień. Gustaw nie umiał, nie potrafił odmówić zadośćuczynienia jej żądań i dzięki temu brnął coraz dalej, staczał się w przepaść. Stosunki między Mielnowem a Rumszanką ochłodły. Po przyjeździe z zagranicy Gustaw z żoną raz tylko odwiedził Alfredów, a gdy się tutaj tak od brata jak i Maryni spotkał z surową krytyką swego postępowania, już więcej nie zajrzał. Cyganiątko tylko dotrzymywało placu i nieopuszczało zbłąkanych. Często konno zaglądało do Rumszanki i zawsze zgryziona powracała ztamtąd. W końcu przyszedłszy do wniosku, że tam się nic uczynić nie da i ona zrezygnowała, a natomiast całą troskliwość swoją przeniosła na dom, dwie siostry i coraz bardziej niedołężniejącego pana Stanisława.

W Rumszance tedy bawiono się wspaniale, urządzano bale, uroczystości, wycieczki, z dnia na dzień jednem słowem przepędzano życie.

W Mielnowskich interesach często pomocą prawdziwą był ów Abram, jak wiemy stały wielbiciel cnót Maryni, i od czasu jej zamąż pójścia stały przyjaciel męża.

Pewnego poranku przyjechał z zafrasowaną miną przed dworek mielnowski i pocichu wszedł do kancelaryi Alfreda, drapiąc się w głowę.

— A co nowego a dobrego powie nam Abram— zawołał Alfred, ujrzawszy wchodzącego żyda.

— Nu! co tu nowego a dobrego mówić. Dzieje się źle w Rumszance!

— Jakto?

— I jak tak dalej pójdzie, to ten pan Gustaw z torbami pójdzie. Ja przez żydków wiem, co on pożycza na takie procenty, jakich płacićby niebył w stanie sam Rotszyld Nu, a on jak nie zapłaci, to jego zlicytują, a co potem—pytał sentencyonalnie Abram?...

— Przecież wszystkiego mój Abramie puścić nie może. Cała Rumszanka do niego nie należy, ale tylko połowa z dożywociem matki.

— A gdzie to stoi napisane — spytał z naciskiem Abram.

— Gdzie napisane?

— Teraz taki świat stoi, co aby ludzie wierzyli, potrzeba, żeby wszystko stało czarno na białem.

— Ja mam czarne na białem, akt prywatny, w którym zeznaje Gustaw, iż połowa Rumszanki do mnie należy.

— Ale tego aktu nie ma w hipotece, a jak tego aktu tam nie ma, to on Rumszankę sprzedać całą może, a wtedy i to co pan ma czarne na białem, na nic się nie przyda!

— Ah! nie, co mówisz Abramku — wyszeptał Alfred — on przecież, do takiej podłości nie byłby zdolnym, ale już w głosie Alfreda, dostrzedz można było powątpiewanie w to co mówił i smutne przeczucie. On za uczciwy na to — powtórzył z naciskiem, aby większą wagę nadać swym słowom.

— Nu on był uczciwym, ale pan wie co zła kobieta, to i z najsumienniejszego człowieka, może zrobić gałgana, i na odwrót, nie trzeba na to daleko patrzeć. Tam źle idzie wszystko, i ja na swój żydowski rozum doradziłbym wielmożnemu panu, coby pan ten akt wyjął i skończył, bo inaczej źle będzie.

— No, no, bądź spokojny Abramku, nie strasz mię, bo Gustaw tak bardzo nie upadł.

— Nie straszę, a ostrzegam.

I dalej poczciwy Abram, wykładał jakiś inny powód swego przybycia do Mielnowa. Alfred jednak widocznie był niespokojny, i jak to mówią, jednem uchem słuchał, aby drugiem to co słyszał wypuścić. Na propozycye Abrama nabycia rzepaku się zgodził, bo miał już wiarę w jego uczciwość, a gdy żyd z kancelaryi się wysunął, aby z Marynią pogawędzić, gorączkowo prawie sięgnął do kluczyków, otworzył niemi szufladę w biurku i odszukawszy akt, zabezpieczający mu połowę Rumszanki, ułożył na boku.

— Tak, trzeba się poradzić w tej sprawie Maryni. Wszakże byłoby szaleństwem, pozwolić mu się zrujnować bez najmniejszego dla kogokolwiekbądź pożytku.

Z temi słowy zostawiwszy akt na biurku, wyszedł do sąsiedniego pokoju, aby tam pogawędzić ze swoją panią i królową jak zazwyczaj nazywał Cyganiątko. Na nieszczęście Marynia poszła wraz z Wandą do obory, a rozgorączkowany Alfred nie chcąc czekać na jej przybycie do domu, poszedł za nią. Tymczasem trzask bata zapowiadał czyjś przyjazd. Alfred przybysza nie zobaczył, a był nim Gustaw, który obszedłszy wszystkie pokoje i niezastawszy nikogo, zapalił cygaro i wygodnie się rozsiadł w fotelu stojącym pod biurkiem w kancelaryi. Wzrok jego błądził po wszystkich stronach i nagle zatrzymał się na rozłożonem na biurku papierze. Binokle nadział na oczy i prawie sobie niedowierzał. On właśnie po gwałtownej scenie z Julią, której odmówić musiał pieniędzy, na jakieś nowe klejnoty, przybył tutaj, aby coś zrobić, z Alfredem się ułożyć i zmusić brata do ogłoszenia, iż go nic z Rumszanką nie wiąże i tym sposobem poprawić sobie zachwiany kredyt, a tutaj tymczasem przed nim leżał ów fatalny papier, który go w szachu trzymał i którego znaczenia raz na zawsze pozbyć się był w możności.

Trzeba oddać sprawiedliwość Gustawowi, że na samą tę myśl zadrżał. A jednak, jakaś tajemnicza siła popychała jego rękę, ku fatalnemu pismu. Przed oczami jego stanęła zadąsana minka żony, kłopoty finansowe w jakich się znalazł i przyszłość, która po odebraniu sumy należącej ze spadku Alfredowi, niesłychanie smutnie wyglądała.

— Alboż on sobie nieda rady — szepnął, obejrzał się dokoła bojaźliwie, jeszcze raz cofnął rękę, ale po chwili papier schwycił, schował go szybko do kieszeni i jak szalony wybiegł z pokoju. Za chwilę bladego i febrycznie drżącego, eleganckie tilbury przywiozło do Rumszanki. Był tak jednakże zdekoncertowany tem co uczynił, że prawie na nogach oprzeć się nie mógł, a tem mniej był w możności ocenienia zbyt poufnego zachowania się względem jego żony, hrabiego Zdzisława Kreps, który tutaj za nimi aż z Hamburga przyjechał.

Pan Zdzisław, był sobie zdechlaczkiem wyrosłym na paryzkim bruku, chociaż urodzonym nad brzegami Wisły. Posiadał dosyć wysoką rentę, od olbrzymich kapitałów, jakie mu ojciec zostawił, był w towarzystwie co się nazywa, dobrze. Polszczyzną się brzydził i wszystkiemi zwyczajami naszej moralności, które przesądami nazywał, nazywał Gustawa swym przyjacielem i tej nawet wielkiej przyjaźni dowiódł mu przyjazdem z zagranicy i towarzyszeniem do tego barbarzyńskiego kraju, gdzie nikt pojęcia o prawdziwym szyku nie ma: były to więc jak widzimy dostateczne powody dla Gustawa, do zaregestrowania go w poczet swoich przyjaciół.

Hrabia Zdzisław wcale nie dwuznacznie objawiał wielkie swoje uwielbienie dla pani Julii, ale uważanem to było za ton dobry i wszyscy a przedewszystkiem Gustaw sam w tem uwielbieniu nie widzieli nic złego i gorszącego.

Po uczynieniu tej maleńkiej notatki, musimy teraz wrócić do Alfreda, który odszukawszy Marynię i przedysputowawszy wszelkie możliwe ewentualności, przyszedł do wniosku, że bądź co bądź z bratem należy interes ukończyć, zabezpieczyć się dobrze, gdyż inaczej, w niedalekiej przyszłości i niebyłoby na czem się zabezpieczać.

Z pewną zatem, nawet dobrą miną wszedł z powrotem do kancelaryi i zaraz na pierwszy rzut oka spostrzegł brak aktu, który zostawił na biurku.

— Pewnie schowałem go do biurka, ah, cóż za roztargniony ze mnie człowiek, to widocznie tak wszystko ze szczęścia:

Otworzył szufladę, przerzucił papiery aktu nie było.

— Ha, musiałem wsadzić gdzieindziej, co za dziwna u mnie pamięć — powtórzył półgłosem i znowu przeszukiwania swoje rozpoczął z tym samym co poprzednio skutkiem. — Najniezawodniej wychodząc z kancelaryi zabrałem z sobą i zgubiłem po drodze!

I poszedł szukać w ogrodzie, w oborze, przeszedł parę razy, wszędzie się zatrzymując, całą drogę, którą przedtem odbył, ale zawsze napró-

żno. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że papier zginął, że go ktoś ukradł, lub schował umyślnie. Kto jednak mógł mieć interes w podobnego rodzaju czynie, dla Alfreda było zagadką. Nagle spojrzał we wrota zamykane zazwyczaj, a w tej chwili otwarte, i dziwna myśl uderzyła mu do głowy.

— Kto być mógł tutaj! — pytał sam siebie i nieśmiał na to pytanie odpowiedzieć, gdy nagle ujrzał stróża, który wrota zamykał mrucząc coś niezadowolony pod nosem.

— Jakóbie! — ozwał się Alfred — kto tędy przejeżdżał?

— Jasny pan z Rumszanki — była odpowiedź.

— I długo tutaj bawił?

— Dobre ćwierć godziny.

— Był w kancelaryi?

— A juści!...

Alfred schwycił się za głowę, jęknął i upadł na ławkę przed domem prawie płacząc.

— Więc on już tak nizko upadł — zawołał — nie, ja do tego dopuścić nie mogę. On mi za to zapłaci. Shańbić nazwiska niepozwolę. Dzisiaj okradł mnie, jutro okradnie innych, obcych, aż w końcu dorobi się kryminału. Widzę straszną przepaść pod jego stopami i błogosławię niebo, że mi pozwoliło zwrócić się z drogi na której kiedyś byłem. O aniele mój — dodał zwracając się w stronę pokoju żony — jakże ja cię kocham, jak ja cię uwielbiam... Ale! nie, to niepodobieństwo, on tego dopuścić się nie mógł, tu musi być jakieś nieporozumienie. Pojadę natychmiast, rzecz wyjaśnię, to być niemoże.

Za chwilę pędził Alfred sam jeden amerykanką, zaprzągniętą w jednego konia, co tylko sił starczyło.

Zajechał przed ganek, cugle rzucił szybko stojącemu opodal wieśniakowi i jak szalony wpadł do dworku, a raczej już dziś do pałacu Gustawa?

— Gdzie pan? — zapytał pierwszego spotkanego lokaja.

— U siebie w kancelaryi — była odpowiedź.

Alfred nie czekał aż go zaanonsowano, który to zwyczaj panował w Rumszance, ale otwierał drzwi pokojów gwałtownie i nareszcie stanął przed bratem i spojrzał mu bystro w oczy. Gustaw zbladł i oczy na dół spuścił, Alfred po raz drugi zadrżał zobaczywszy jego pomieszanie.

— Byłeś u mnie? — zapytał wolno — przed godziną.

— Tak — odparł Gustaw — ale niezastawszy cię w domu, natychmiast wyjechałem.

— I byłeś u mnie w kancelaryi?

— Nie przypominam sobie, zdaje mi się jednak że tak.

— Na biurku tam, leżał papier, akt w którym zeznałeś symulacye całkowitego tytułu własności Rumszanki.

— Nie widziałem go — gorączkowo i szybko zawołał Gustaw, a na twarz jego wystąpił rumieniec.

— Kłamiesz! — zagrzmiał w powietrzu głos Alfreda. — Czytam na twojej twarzy, w twoich oczach, w rumieńcu twoim, że ten papier, ten akt twoją ręką zniszczony został, że starłszy z czoła wszystko, teraz rzucasz się na drogę z której wyjścia nie ma, na której grozi hańba, nietylko tobie, ale i nazwisku, które ja noszę i nosi moja żona. Zapowiadam ci więc, że jeśli ta plama dotknie ją, jeźli ona się o tem dowie, słuchaj rozumiesz, ja przysięgam ci na wszystko co mam najdroższego, że ci jak psu w łeb palnę.

— Nie znam, nie widziałem twojego aktu — słabo protestował Gustaw. — Znać cię nie chcę, potem coś mi powiedział, zrozumiesz że stosunki nasze skończyć się muszą, że one się skończyły.

— Nie potrzebujesz powtarzać mi tego, gdym zobaczył cię, wiedziałem, że między takim uczciwym człowiekiem jak ja, a takim łotrem jak ty, wszystko się skończyć musiało i wszystko się skończyło. Odtąd zapomnij że masz brata, tak jak ja zapominam, ale pamiętaj, że kula cię nie minie jeżeli tak daleko wejdziesz w błoto, że ono mię obryzga.

Z temi słowami wybiegł jak szalony Alfred, skoczył znów do swojej amerykanki i zniknął w tumanie kurzu.

Gdy przybył do domu, trząsł się cały febrycznie, a gdy Cyganiątko zarzucając rączki na szyję zadawało mu pytania, gdzie był, co robił i dlaczego taki zdenerwowany, odparł:

— Nie pytaj mnie aniołku, cierpię bardzo, spotkało mię największe nieszczęście, jakie tylko spotkać mogło. Proszę cię odtąd drzwi domu Rumszanki są dla nas zamknięte, tak jak drzwi nasze dla nich. Ztamtąd prócz smutków nic już spodziewać się nie możemy i daj Boże abyśmy ztamtąd nowego nie doznali ciosu.

— Oh! tak, tam źle bardzo — zawołała wchodząc na ostatnie słowa do kancelaryi Alfreda, jego matka staruszka. — Był u mnie wczoraj Gucio, jest w bardzo złych interesach, urodzaje mu nie dopisały, kredyt stracił, chcąc go ratować zrzekłam się nawet dożywocia, tak o to mię prosił.

— A to łotr! — syknął przez zęby Alfred — okradł nietylko mię, ale nawet i matkę, nie ma ratunku.

— Jest — szepnęła pocichu Marynia.

— Moja suma posagowa w Mielnowie. Wiem, że resztę już obdłużyli, ale to będzie dla nich deską zbawienia, gdy stracą wszystko, przecież my tego nie weźmiemy.

Alfred na te uczciwe słowa nic nie odpowiedział przygarnął tylko do piersi żonę, serdecznie uścisnął i podchodząc z nią ku matce, zawołał.—Matko, błogosław tę kobietę, która ci syna zrobiła uczciwym człowiekiem. Błogosław ją za wszystko dobre jakie sieje obok siebie i raj jaki nam otwiera.

Staruszka drżącą ręką uczyniła krzyżyk w powietrzu nad główką Cyganiątka i serdecznie ucałowała ją w czoło.

Był to śliczny obrazek, który dał szczęście wszystkim, co się w nim znaleźli, mimo tego iż tak wiele dnia tego stracili. Kochająca, zacna kobieta, nawet z piekła raj uczynić może, a taką było nasze poczciwe Cyganiątko.

Od tej chwili przerwały się zupełnie wszelkie stosunki Mielnowa z Rumszanką. Marynia zajęła się jedynie goszczącą u niej Wandzią, która wybierała się w światy szerokie naartystyczną karyerę, a jakoś niesporo szły jej te zamiary. Czasy były ciężkie, Alfred łamał się z trudnościami na roli, Cyganiątko było zadelikatne aby go niepokoić prośbami o pomoc dla siostry, a więc wszystko schodziło z dnia na dzień w oczekiwaniu jakichś nadzwyczajnych wypadków. Możnaby powiedzieć, że te wypadki w powietrzu się unosiły.

Przedewszystkiem z Rumszanki codziennie nadchodziły nienajweselsze wieści. Było tam coraz gorzej, a przy tem coraz to huczniej. Goście nie opuszczali pałacyku, a pani Julia chciwa hołdów, przyjmowała je, lubowała się wnich, śpiewając bezustannie nad uchem męża jedną i tą samą piosenkę: pieniędzy, pieniędzy.

Dowiedzionym jest faktem, że kobieta zła a kochana, zawsze najgorszy wpływ wypiera na kochającym, zwłaszcza wtedy, gdy sama nie kocha. Chłód jej drażni, pobudza, elektryzuje zakochanego i robi go zdolnym do popełnienia największych szaleństw: na każde jej skinienie, gotów zbrodnią często zapłaci za jej uśmiech łaskawszy.

To samo zupełnie działo się z Gustawem. Nie było czynu, któregoby nie popełnił, dlatego tylko jedynie, aby się przypodobać swej żonie, która też w chwilach złego humoru, nie szczędziła mu wymówek na temat zawiązanego życia i nędzy.

To co uczynił Gustaw z Alfredem, nie było czem innem, jak tylko wypływem, takiego pożycia.

— Co uczynimy—powtarzała codziennie prawie Julcia Gustawowi — gdy Alfred zażąda zwrotu majątku, pójdziemy z torbami, a wtedy...

— Ależ Alfred nie zażąda—powtarzał przekonywająco Gustaw—przecież on bratem, rujnować by nas nie chciał.

— Jakto, więc przypuszczasz, że ci daruje. Z Mielnowa nic nie mają. Jej posag, czy tam dług na ostatnim numerze hipoteki, nietylko, że się nie procentuje, ale w wartości majątku nieslychanie wiele znaczy, tak, że gdybym nawet namówiła ojca do oddania go nam niewiele ztamtąd mieć możemy...

— A twój posag? Gdybyś chciała pożyczyliby ci pieniędzy na niego.

— Ah proszę cię, nie kuś mię w podobny sposób, chciałżebyś, abym nic nawet sobie nie zostawiła na czarną godzinę? Wiesz co Gustawie, tego nie mogłam się po tobie spodziewać, to jest szczyt egoizmu.

— Więc na litość, czego ty chcesz ode mnie?

— Ja! nic! ale sądzę, że do ciebie należy myśleć o noich potrzebach.

— Wszakże masz wszystko!

— Tak, mam — dodawała z ironią — prawda, piękne mi szczęście, siedzieć tutaj, w tej przeklętej dziurze, bez nadziei wychylenia głowy na świat Boży.

Po takiej rozmowie zazwyczaj, Gustaw wychodził z domu, szedł w gąszcze zielone i nad położeniem swojem się zastanawiał. Nieszczęście czy, traf mieć chciały, że pokusa sama przyszła mu przed oczy. Pchnęło go coś na złą drogę z której powrotu nie było. Po czynie jakiego się dopuścił względem Alfreda, nie mógł już liczyć i nie chciał na brata, został sam, sam jeden z myślami które go gryzły i z przewidywaniem zbliżającej się katastrofy, której nie mógł nie widzieć. A tymczasem w pałacu jego i domu, rozsiadał się coraz bardziej pan hrabia Zdzisław Krepa, zyskujący coraz większe zaufanie Julii, i jej przychylność.

Julia stała się jeszcze piękniejszą kobietą niż była kiedyś. Była to jednak posągowa piękność, jakby wykuta z marmuru, zimna, niezdolna uledz wpływom żadnym, żadnym porywom. W życiu chciała używać, po same brzegi rozkosznej czary, dopóki się dało.

Z takiem usposobieniem niedaleką była od przepaści a nikt ją w drodze ku niej zatrzymać, nikt uratować nie był w stanie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POGADANKI ZE LWOWA.

I.

Na pierwszy debiut w moich pogadankach, obrałem sobie charakterystykę tutejszych kobiet. Nie wątpię, że daleko przyjemniejszym i bardziej interesującym dla Czytelniczek byłby temat o płci brzydkiej, ale ja znam towarzyski mores i wiem co komu się wprzód należy.

— Ciekawam, dlaczego temat o mężczyznach ma być dla nas więcej interesującym? — pomyśli sobie niejedna z urażonych mojem wyznaniem Czytelniczka.

— Dlatego wielmożna pani, że w myśli każdej kobiety zawsze wprzód staje choćby najmiej znany mężczyzna, niż najbardziej ukochana przyjaciółka. Łaskawa pani, taki jest porządek rzeczy na świecie, że my najwięcej myślimy o was, a panie znów przez grzeczną wzajemność o nas. Każdy mężczyzna, ma się rozumieć młody, z pewnemi sympatycznemi przymiotami duszy, póty jest waszym nieprzyjacielem, któremu dokuczacie, którego prześladujecie, czasem nienawidzicie, póki się nie zda na łaskę i niełaskę.

Nieładnie to jest ze strony mężczyzny, pełnić obowiązki denuncyanta, czyli jaśniej mówiąc szpiega na korzyść przeciwnego obozu, ale przyrzekam paniom, że to zrobię, bo któżby dla was czegobądź nie uczynił, jeżeli ładnie prosić zechcecie.

Zrobię więc, choćby mię kawalerya galicyjska miała wprzód powiesić, bo znam swoją służbę i obowiązki.

A teraz weźmy się do kobiet tutejszych.

Nie straszne są one dla Warszawianek, proszę się uspokoić; same o tem wiedzą i dlatego też szczerze was... nie kochają. A mamy tu tych Warszawianek dosyć; które nietylko na ulicy, ale i w salonie na pierwszy rzut oka rozpoznać można, odznaczają się innym szykiem, innym strojem, niezmierną łatwością w prowadzeniu towarzyskiej rozmowy, czasami *lękliwą śmiałością*, czasami wielce lubianą tu naiwnością, a prawie zawsze dystyngowanemi kaprysikami.

Z początku każdej Warszawiance Lwów się nie podoba. *U nas w Warszawie*, (a te u *nas* powtarza się ciągle), zupełnie inaczej; kobiety są przyjemniejsze, mężczyzni usłużniejsi, (to jest nieprawda, bo we Lwowie tak samo dobrze służą jak i w Warszawie), ubrania pozbawione gustu i elegancyi, sklepy nadzwyczaj skromne — jednem słowem u nas w Warszawie nie tak nudno i daleko przyjemniej. Ztąd też Warszawianka upolowana gdzieś u wód przez lwowskiego Budrysa, przez pewien czas czuje się ofiarą i rozbitkiem; znajomości żadnej zabierać nie chce, i co drugi dzień pisze sążniste listy do mamy, żeby przyjeżdżała i przywiozła z sobą kapelusz z Warszawy, bo tutejsze są straszydła. Powoli jednak towarzystwo mężczyzn tutejszych zaczyna jej się coraz lepiej podobać. Nie to co nasi z Warszawy — powiada — ale sto razy ich wolę niż tutejsze kobiety, które daruj pan są okropnie prozaiczne..

I idzie tak rok po roku, aż tu widzę raz panią Warszawiankę; że siedzi w ogródku u Grzywińskiego i ciągnie w najlepsze pilznera.

— Pani! — wołam zgorszony — co to jest?

— Ha! zelwowiłam się. Jak mię zaczął Józio namawiać, że muzyka dobra, że pilzeńskie piwo mi posłuży, tak mię wyciągnął raz i drugi i chodzę i tyję, jak pan widzi, żeby się nie różnić od Lwowianek.

Po piwie, idzie w zapomnienie Kuryerek Warszawski, z którego się czyta już wyrazy zmarłych, potem w intonacyi głosu, zaczyna się pewne przeciąganie, a gdy zjawi się ktoś ze znajomych mężczyzn z Warszawy, pani Józefowa jakoś nie zachwyca się jak dawniej.

— Powiem panu otwarcie — rzekła mi raz — że ci Warszawiacy zanadto się szastają.

— Jakto?

— Tak coś zanadto są grzeczni, zanadto gadatliwi, a podług mię, mężczyzna powinien mieć więcej powagi, tak coś więcej...

— Więc i o kobietach tutejszych przekonała się pani...

— Niezgrabne, bez szyku co prawda, ale bardzo zacne i gospodarne. W tych czasach i w naszych warunkach, praca kobiety w domu dużo znaczy. Czy wiesz pan, że ja sama zajmuje się kuchnią?

— Nie może być! Pani, która tak litowałaś się nad tutejszemi gospodyniami, że są pierwszemi sługami u siebie?

— Przekonałam się, że to lepiej i oszczędniej. Mój Józio niczego mi nie odmawia, on jest tak dobry dla mnie, tak dobry... ale znów nie miałabym sumienia, żeby dla dogodzenia moim zachciankom miał się zapracować... Zresztą tak wszystkie panie lwowskie postępują i ja sama widzę, że to jest oszczędniej, a Józio tak sobie życzył...

Otóż prawdę mówiła pani Józefowa, lwowskie kobiety w ogóle są bardzo pracowite i dobre gospodynie. Szyku nie mają eleganckiego, ale mają praktyczny zmysł niemiecki, który się tutaj razem z dawniejszem bonowaniem niemców zagnieździł. Lwów dotąd jest jeszcze miastem nowem, do którego zbiega się ze wszech stron Polski różnorodna ludność, a którą asymiluje jako większe miasto, stolica kraju i asymilując wytwarza oryginalny charakter.

Zróbmy krótki przegląd tutejszych warstw społecznych, a szczególniej kobiet. Nie jestem nieprzyjacielem arystokracyi z zasady, lecz co do tutejszej, otwarcie powiedzieć muszę, że nie jest sympatyczną, szczególniej ta, co to się pnie a sił nie ma, aby się wdrapać wysoko. Bo trzeba Czytelniczkom wiedzieć, że Galicya ma kilka gatunków arystokracyi: starą bogatą i starą biedną, podobnie jak i nową, różnej majątkowej wartości, a w końcu tak zwaną dobrą szlachtę, której przodkowie spóźnili się z kupnem tytułów, kiedy je rząd austryacki niedrogo sprzedawał. Teraz łakną go potomkowie, łatając ten niedostatek hrabstwem rzymskiem lub tytułem szambelańskim, który trochę taniej kosztuje. Otóż arystokracya stara, zawsze z góry traktuje ową nowoczesną i zniża się do niej chyba dla majątku. Kobiety owej kasty trzymającej się tu oddzielnie, wcale się nie odznaczają uprzejmością i tak zwanym dobrym tonem; mówią po francusku co tu poczytuje się jeszcze za oznakę wyższego wykształcenia, lecz nie uważają za potrzebne robić sobie wiele ceremonii z innemi klasami tutejszych mieszkańców.

Dom w zwykłe dnie prowadzą nietylko oszczędnie, ale nawet ze skąpstwem, na zewnątrz dbając tylko o paradę i sadzenie się na wielkie przyjęcia. Majątek jest tutaj najwyższym celem pragnień a przy nim, gwałtowna chęć kadzidła. Trudno mieć pojęcie do jakich śmieszności doprowadzone jest wśród tej klasy pragnienie reklamy. Płacą subwencye mizernym nawet dziennikarzom, każą sobie pisać pochwały o swych wieczorach, stawiać tryumfalne bramy po wsiach, aby tylko tłum ciągle coś o nich czytał i słyszał. Paryż i Wiedeń to jedyne składy zkąd sprowadzają się stroje dla dam tego rodzaju, kupując zaś tutaj, targują się o centa.

Jak każda arystokracya, tutejsze wielkoświatowe damy zajmują się ubogimi i z małym wyjątkiem, doskonale umieją grać na próżności ulicy, wyciągając z niej dość spore fundusze, z czego chwała i zasługa dla nich zostaje.

Ma się rozumieć wszystko to nabożne i religijne, konfuzya z ojcami Jezuitami, którzy wśród nich pokorny i uniżony rej wodzą.

Jednem słowem arystokracya tutejsza, bez żadnej wybitniejszej cechy indywidualności, każe się nazywać konserwatywnym żywiołem, każe się czcić i sobie służyć, pokazując czcicielom gruszki na wierzbie. Od lat trzystu nic nie zapomniała i niczego się nie nauczyła, prócz gonitwy za majątkiem, w czem z góry już tak przy wyborze środków jako i celów zapewniła sobie zupełne rozgrzeszenie.

Klasa urzędnicza i tak zwanej inteligencyi, nieustannie zasila się z tutejszego mieszczaństwa. W ostatnich czasach wyższe posady już biorą w posiadanie podupadli hrabiowie i szlachta, ci więc czepiają się klamek pańskich i zaliczają ostentacyjnie do konserwatystów. Ale większość owej inteligencyi lwowskiej, rekrutuje się z mieszczaństwa i trzyma się starej tradycyi urzędniczej, którą tu wprowadzili dawniej nasyłani Czechy i Niemcy. Życie porządne pojmują oni ze strony bardziej utylitarnej; porządek, wygoda w domu, a zatem i dobra kuchnia, czyli jak tutaj mówią *wikt*, stanowią dla gospodyni owej średniej klasy, jedyny przedmiot zajęcia. Jedzą też w stosunku do swej zamożności dobrze i dużo, a ta właśnie okoliczność jak mi się zdaje, jest powodem powszechnego tutaj i nieco zbytecznego zaokrąglenia figury lwowianek. Wyglądają zdrowo, wszędzie pełno, czasami zapełno, co na pierwszy rzut oka nieco razi przybyłego z królestwa turystę. Naturalnie, że przy takiem usposobieniu wiktowem, gospodyni tutejsza przedewszystkiem myśli o kuchni. Skromna i więcej na duchowym chlebie wychowana Warszawianka, zdziwiłaby się, zobaczywszy w kuchni lwowskiej, cały arsenał różnych naczyń kuchennych, błyszczących od czystości i z całą ostentacyą rozmieszczony na ścianach w około. Po większej części same panie zajmują się gotowaniem lub pieczeniem, a sługa używa się tylko do pomocy dla grubszych robót, głównie zaś do szorowania owych naczyń, szorowania statków i podłogi, bielenia kuchni (co się raz na tydzień regularnie uskutecznia), wreszcie wietrzenia pościeli i garderoby, a osobliwie trzepania. W każdej kamienicy już od 7-ej zrana, na wewnętrznych galeryach w dziedzińcu, zaczyna się wynoszenie dywanów, ścieżek dywanowych, garderoby i pościeli, a potem trzepanie. A trzepią tak ochoczo, energicznie i zawzięcie, że doprawdy ludzi nerwowych mogą doprowadzić do desperacyi. A tu nie ma na to żadnej perswazyi ani lekarstwa, trzepią jakby strzelali z armat, i to porządnej gospodyni prawdziwą przyjemność sprawia. Zamożny mieszczanin lwowski, (a do nich zaliczam i urzędników, adwokatów, lekarzy, kupców i t. p., bo nieustannie z sobą się łączą), na ulicy lubi się pokazać w stroju wykwintnym nawet, czem się tłomaczy szczególniejsze powodzenie tutejszych krawców. Żony ich również się stroją na ulicę lub bal publiczny, albowiem towarzyskich przyjęć domowych

prawie tu nie znają. Każdy poczytuje sobie za obowiązek przyjąć swoich znajomych i przyjaciół, raz czy dwa do roku i wtedy występuje świetnie. Stoły się uginają pod półmiskami różnych potraw, wino dają dobre, cukry, torty, owoce i na zjedzeniu też tego wszystkiego, kończy się cała zabawa. A jak jedzą i jak się delektują, to prawdziwa przyjemność jest patrzeć, bo widać, że się serdecznie gościom dogodziło. Kobiety siedzą same w salonie z powagą wygrzewając krzesła i rozpatrując wzajemne ubrania: mężczyzni idą do drugich pokoi i grają w wista lub ulubionego tu taroka. Zjadłszy i wypiwszy wszystko, czasem z pewną w poufały sposób objawioną krytyką owych potraw, rozchodzą się do domu z obopólnem zadowoleniem; gospodarz, iż gości należycie przyjął, a ci znowu, że się doskonale ubawili. Po takiej fecie schodzą się gdzieś w rok, najczęściej mało znając jedni drugich i na tem się przyjacielskie zebrania kończą.

W zwyczajne dnie, mężczyzni całe wieczory przepędzają albo w kasynie, albo w restauracyach, kobiety zaś w domu, albo u najbliższej rodziny i to w popołudniowych godzinach najpóźniej do 7-ej wieczorem. Przychodzący po tej godzinie z wizytą jest źle widzianym i sprawia gospodyni prawdziwą subiekcyą, co zaraz daje się poznać z jej zafrasowanej miny.

Lwowianie lubią muzykę i teatr, i znają się na tem, dlatego też każda nowa sztuka obudza niezwykłe zajęcie, dając przedmiot do wyczerpującej dyskusyi. Tak samo każden koncert sprowadza dość licznych słuchaczy, chociaż tych koncertów bywa tu za wiele i to nie zawsze godnych tej nazwy.

Strojami na ulicy odznaczają się przedewszystkiem żydówki, szczególniej w dzień ich świąteczny. I rzeczywiście, wszystko co tylko najnowsza moda przyniesie z Wiednia, one już mają na sobie wprzód nim ta nowość dostanie się innym warstwom tutejszej ludności.

A między temi żydówkami jest stosunkowo wiele, bardzo ładnych i typowo pięknych, o czem one wiedzą i z czem prezentować się lubią. W ogóle jednak żyją wyłącznie tylko między sobą, w prywatnych zebraniach nie dało mi się spotkać nigdzie żydów, równouprawnienie widocznie nie sięgło jeszcze tutaj do życia rodzinnego.

Na pierwszą moją pogadankę ze Lwowa, niechże będzie dosyć, a jeżeli zdoła ona zainteresować Czytelniczki „Tygodnika”, to nie omieszkam przesłać ich więcej, aby mogły mieć wyobrażenie co też jest ten Lwów za jeden i jacy też w nim ludzie.

HAMAK OGRODOWY.

(Z hiszpańskiego).

Jasny księżyc już wyłania
Swoje czoło posrebrzane,
Pójdź! me dziewczę ukochane
Śnić w hamaku ogrodowym,
Gdy w milczeniu wieczorowem,
Kwiaty do snu się kołyszą,
Gdy miłosną pieśnią dyszą,
Wietrzyków ciche szemrania.

O! jak miło pośród gaju,
Gdzie swe fale strumyk toczy,
Wielbić słodkie twoje oczy,
Tak w miłości wykąpane!
I twe włosy rozbujane,
Przez hamaku kołysanie,
Tak całować bezustannie,
A namiętnie, ah! jak w raju!

Pójdź! o, spiesz! niech tchem swym zdro- [wym
Nas całuje wiatr swawolny,
Niech nas hamak huśta wolny!
Śród zapachów pomarańczy,
Niech nam w oczach gaj zatańczy —
Niech nas do snu ukołysze,
Niech twój cichy oddech słyszę,
Śnij w hamaku ogrodowym! —

Corpancho.
(tłomaczył A. L.)

Wiadomości literackie.

W roku 1881 wyszła w Warszawie, drugiem S. Orgelbranda książka z głównym tytułem: *Passe-temps d'un infant studieux, manuel français composé et traduit en polonais, allemand et russe à l'usage de la jeunesse par Bronisława Leśniewska maitresse de pension à Varsovie.*

W tej „Rozrywce dla dziecka pilnego”, autorka wiedząca z doświadczenia, ile trudów i czasu potrzeba na naukę języków, opracowała podręcznik nowy, z myślą ułatwienia, uproszczenia i skrócenia nauki języka francuzkiego.

Aby zwrócić uwagę dziecka na książkę, zajęła wzrok jego nowością książkową, to jest, wprowadziła druk czcionkami cienkiemi i pełnemi, dalej obok liter drukowanych, postawiła pisane.

Druk pełny zwraca uwagę czytelnika na wymawianie właściwe samogłosek z wszelkiemi spółgłoskami, podług prawideł wskazanych. Kursywa obok druku ostrzega, że dźwięki te przemilczeć należy.

Pojedyńcze wyrazy numerowane, jako przykłady na wymawianie, bynajmniej nie powinny zrażać trudnością, ani zniechęcać do uczenia się na pamięć, jako mało używane w mowie potocznej. Wybór ten właśnie miał na celu obznajmienie ucznia z zawiłościami wymowy i pisowni francuzkiej, aby zaś nie były tylko próżnem obciążeniem pamięci, powtarzają się one w zdaniach, wyjaśniających ich znaczenie i użycie.

Właściwością języka francuzkiego jest także niezbędne łączenie wyrazów w ciąg jeden, czyli *liaison*; dla wprawy uczniów, autorka obmyśliła znak odrębny, niby sprzączkę sprzęgającą wyrazy. Mechaniczny ten przyczynek, za pośrednictwem wzroku, uczy zastanawiać się i myśléć.

Kilka powiastek ze słowniczkiem, dalej odmiana zdaniami słów posiłkowych *avoir i être* na cztery sposoby, nadto wiele słów używanych z jednym lub kilkoma zaimkami osobowemi i wiele zwrotów potocznych, tylko francuzkiemu językowi właściwych, służą do gładkiego czytania i ciągłego tłomaczenia, iżby nieznacznie w pamięć się wbiły, co już dla ucznia będzie wielką wygraną.

Kilka drobnych utworów rymowanych zakończa książeczkę.

Życzenie żeby od samego początku naukę języka francuzkiego i nazwanie liczb porządkowych łączyć ze swym rodowitym językiem, autorka Passe-temps wyraziła w uwadze wstępnej, bo system takowy uważa za najskuteczniejszy i najkorzystniejszy i tenże zaleca.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Do „Gazety Świątecznej” donoszą: „We wsi Zemborzyce, w Lubelskiem, proboszcz miejscowy ks. Eliasz Z. został dotknięty nieuleczalną chorobą umysłową; poczciwi włościanie postanowili opiekować się nieszczęśliwym kapłanem, który przeszło dwadzieścia lat nauczał ich zasad wiary, miłości Boga i bliźniego, i umiał uczucia te wzbudzić i ugruntować w ich sercach, jak tego dowodzi szlachetne ich względem niego postąpienie. Postanowili bowiem opiekować się nieszczęśliwym kapłanem; nietylko odziewają go i żywią, ale starają się o nastręczanie mu możliwej rozrywki. Piękny to przykład wdzięczności dla swego pasterza — a wiadomo, że to dziś jedna z najrzadszych cnót na świecie, jedynie w czystych i zacnych kwitnąca duszach. Gdy dzwonek uderzy na Anioł Pański, nieszczęśliwy kapłan odzyskuje chwilowo przytomność, i modli się za wszystkich.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** Zamknięto już listę wystawców mających przyjąć udział w wystawie w Antwerpii; obecnie zarząd zajmie się rozdziałem miejsc i dekoracyą halli, która będzie nader świetną jeżli, jak to jest zamierzone, każdy kraj nada dekoracyi swego oddziału cechę narodowego geniuszu. Austrya postanowiła udekorować swój oddział w stylu średniowiecznym. Halle i ogrody obejmujące 114,324 metrów kwadr. przestrzeni, oświetlone będą światłem elektrycznem. Komitet specyalny postanowił, aby użyć wszelkich dotychczasowych systemów oświetlenia elektrycznego, od najdawniejszych do najnowszych, aby publiczność mogła je porównać i osądzić. Kongo nadsyła okazy z nowo eksploatowanej Afryki; w sekcyi francuzkiej będzie można widzieć całą wioskę murzyńską, obejmującą około 50 rodzin, pochodzących z zachodnich brzegów Afryki.

*** Wiadomości nadchodzące z Hiszpanii wykazują coraz większą liczbę ofiar trzęsienia ziemi. Liczbę zabitych w ogóle podają przeszło na 1000 osób. W wielu miejscowściach, mieszkańcy tylko szybkiej ucieczce zawdzięczają swe ocalenie.

Urocza Alhama (przed Grenadą) posiadająca kąpiele siarczane, uległa okropnemu spustoszeniu: z liczby 7,000 mieszkańców, 300 utraciło życie. Doniesieniom o znacznem uszkodzeniu Alhambry, zaprzeczają późniejsze wiadomości. Fasada katedry w Grenadzie, wzniesiona przez architekta Diego del Siloc, ozdobiona prześlicznemi posągami i płaskorzeźbami, bardzo została uszkodzoną. W katedrze tej znajduje się piętnaście kaplic, przyozdobionych obrazami znakomitych mistrzów, rzeźbą i portretami Ferdynanda i Izabelli. W głównej kaplicy spoczywają zwłoki zwycięzców Grenady, korona i berło Izabelli i szpada Ferdynanda.

Równie silnie ucierpiała skutkiem trzęsienia ziemi katedra w Sewilli, której budowę rozpoczęto w r. 1041, a ukończono w r. 1519. Wnętrze jej, podzielone na dziesięć naw, przyozdobionych z niesłychanem bogactwem. Oprócz arcydzieła

Murilla, z którego przed kilku laty wyrznięto i skradziono postać św. Antoniego, odnalezioną następnie aż w Ameryce i wprawioną napowrót do obrazu, katedra Sewilska posiada bardzo wiele utworów pendzla i dłuta najpierwszych mistrzów.

Zaczęto zbierać publiczne składki na korzyść dotkniętych katastrofą mieszkańców kilkunastu miast.

W Portugalii miały także miejsce trzęsienia ziemi, lecz bez smutnych następstw.

*** Wśród Indyan panuje dziwny przesąd, według którego co lat dwanaście przypada rok feralny, w którym chcąc uniknąć nieszczęść, nie należy zawierać małżeństw.

Takim właśnie feralnym rokiem jest według nich obecny 1885 r. W końcu ubiegłego roku zawarto niezliczoną liczbę związków małżeńskich, tak że władze tamtejsze zaledwie zdołały podołać spisywaniu aktu ślubu — ale darmo, inaczej choćby najbardziej zakochane pary, cały rok b. czekać byłyby smuszone. A jakiej to piękne obietnice i przyrzeczenia czynią mężczyzni, byle skłonić wybranki do oddania im ręki przed 1 stycznia. Jedni zobowiązują się przysięgą, że nigdy nie będą żon swoich bić lub znieważać słowami; inni przyrzekają na piśmie żyć w zgodzie z teściem, a w razie niedotrzymania przyrzeczenia, wypłacić bardzo znaczną sumę, i t. p.

*** Od czasu znakomitych odkryć Pasteur'a: teorya mikrobów stała się przedmiotem badań lekarskich. Obok niewielkiej liczby przeciwników, zwolennicy jej zwiększają się z dniem każdym, czynią coraz nowe odkrycia wpływające na zmiejszanie plag ciężko trapiących ludzkość. O jednem z takich nowych odkryć miał sprawozdanie pan Bonley na niedawnem posiedzeniu Akademii nauk w Paryżu.

P. Bonley przedstawił kolegom, iż pp. doktorom Freire i Nebourgen, nietylko powiodło się odnaleźć gatunek mikrobów wywołujących żółtą febrę, ale nadto zastosowawszy znaną metodę Pasteur'a do przekształcania i osłabiania zjadliwych bakteryi, odchowali owego mikroba i zaszczepili go sobie i czterystu innym osobom zamieszkałym w okolicy, w której panowała żółta febra, liczne zabierając ofiary. Z osób zaszczepionych, żadna nie dostała zabójczej febry. A ileż to ona corocznie zabiera ofiar. Z dwudziestu pięciu doktorów, którzy przed trzema laty wyjechali do Brazylii, dla zwalczania tej strasznej epidemii, zmarło dwudziestu trzech; a przy budowie kanału Panamskiego, setki techników i robotników ginie od tej okrutnej plagi, której zwalczenie należałoby święcić jako jeden z najznakomitszych tryumfów medycyny.

*** Nader ciekawe doświadczenia i prelekcye ściągają obecnie w Londynie liczną publiczność. Przedmiot ich stanowią próby z nowym przyrządem wynalazku doktora Carter-Moffet, byłego profesora uniwersytetu edynburskiego. Przyrząd nazywa się amomafonem.

Doktor Carter-Moffet, wyszedł z założenia, iż klimat i powietrze włoskie, przyczyniają się wielce do wytwarzania owych pięknych głosów, które następnie świat cały podziwia i złotem opłaca. Poddał tedy powietrze włoskie chemicznemu rozbiorowi i znalazł, iż takowe zawiera w wielkiej ilości amoniak, i wodę utlenioną, którym przypisuje on, na podstawie doświadczeń własność rozszerzania skali głosu i nadawania takowemu przyjemnego brzmienia.

Uczyniwszy to odkrycie, uczony fizyk urządził przyrząd inhalacyjny, który nazwał *amomafonem* i za pomocą którego, każdy może sobie sztucznie przygotowanem powietrzem włoskiem oczyszczać gardło i udoskonalać swój głos.

Mając w posiadaniu podobny przyrząd, Carter-Moffet, porzucił uniwersytet i rozpoczął wycieczkę do głównych miast Europy dla reklamowania swego wynalazku i fabrykowanego przez siebie powietrza włoskiego, które sprzedaje w butelkach. Zaczął rozumie się prelekcye swoje od Londynu, gdzie powodzenie jego jest dość wielkie. Wszyscy, którzy próbowali jego inhalacyi, a leczą się już na tysiące, twierdzą jednomyślnie, iż po kilku łykach sztucznego powietrza, piersi ich się rozszerzają, a głos nabiera niezwykłego brzmienia. Zdanie to podzielają najznakomitsi obecni w Londynie śpiewacy, którzy są zachwyceni amomafonem i jego wynalazcą.

NOWE WYDAWNICTWA.

Mały podręcznik weterynaryi popularnej, zawierający sposoby niesienia pomocy chorym zwierzętom, zebrał i napisał Franciszek Okniński weterynarz. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Rolnik kalendarz gospodarski na rok 1885 pod redakcyą Jakóba Goldszmita. Nakład Adolfa Wienera — cena kop. 20.

Szkoła tańca, napisał Karol Mestenhauzer, w trzech częściach. Część pierwsza obecnie wyszła z druku i obejmuje: O kształceniu zewnętrznych form ciała — Początkowe zasady tańca — O przyjętych zwyczajach towarzyskich — Korowody przy zawieraniu małżeństwa.

Ciekawe zjawiska w świecie co choć ludzie ciągle na nie patrzą, ale ich zwykle nie rozumieją, opisał Kazimierz Promyk, wydano nakładem księgarni Krajowej Konrada Prószyńskiego.

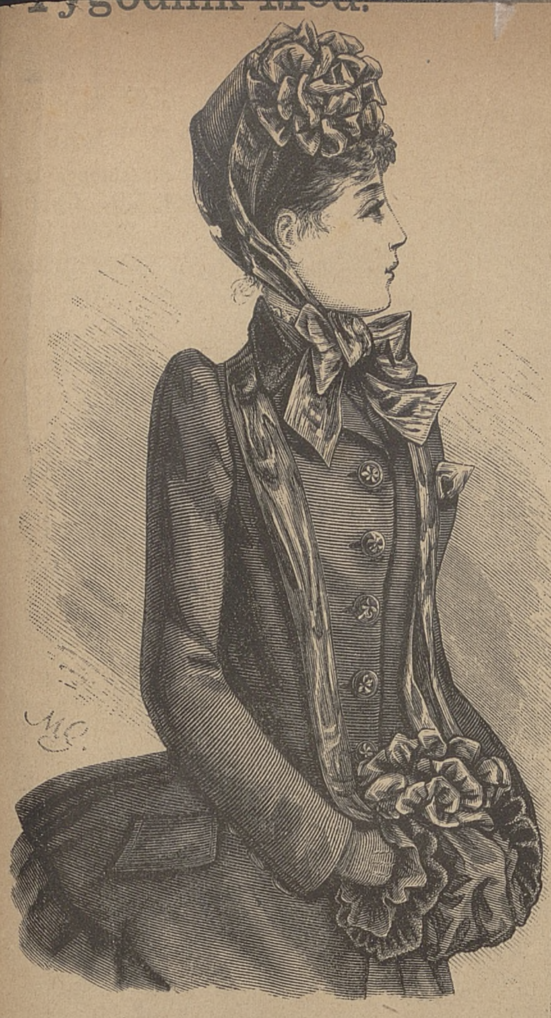
Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani W. Z. w Salomny. Premia oba wysłano, kop. 25 oddano biednej rodzinie K.

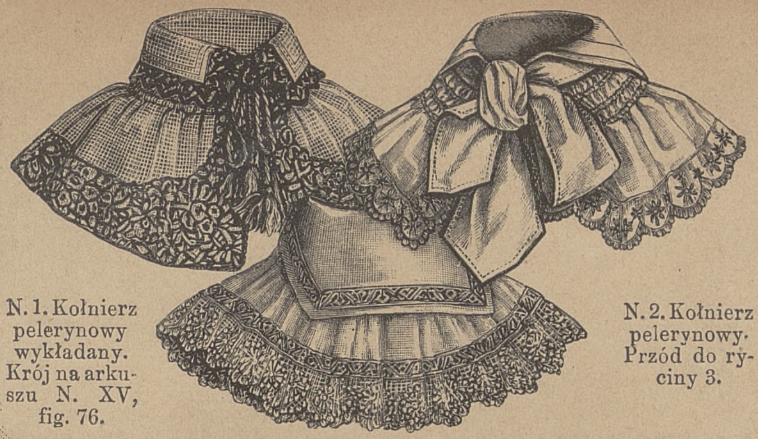
Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Декабря 1884 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Dodatek.



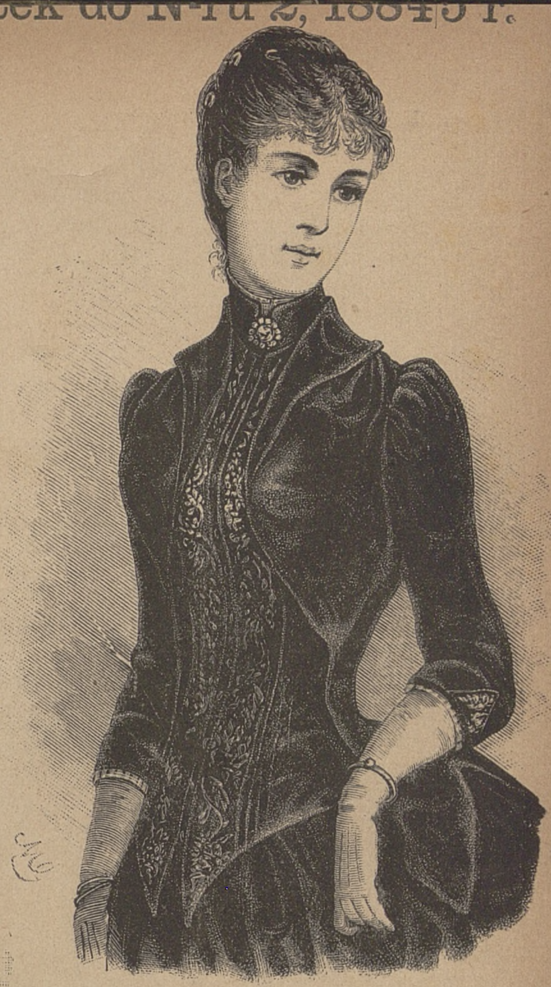
N. 4. Kapelusz i mufka do ubrania spacerowego.



N. 1. Kołnierz pelerynowy wykładany. Krój na arkuszu N. XV, fig. 76.

N. 2. Kołnierz pelerynowy. Przód do ryciny 3.

N. 3. Kołnierz pelerynowy marynarski. Patrz ryc. 2. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 77.



N. 5. Suknia wizytowa z kaftanikowym stanikiem. Krój na arkuszu N. V, fig. 33.

Opis do N-ru 2.

(*Dalszy ciąg*)

N. 11 i 21—22. Szlafroczek z haftem japońskim. Krój i plecy na arkuszu N. VII, fig. 36—37.

Model był z granatowej materyi faille, na jasnej jedwabnej podszewce cienko podwatowanej. Deseń haftu odrobionego różnorodnemi ściegami, srebrno-popielatym jedwabiem, składa się z rozmaitych drobnych gałązek, rzucanych w różne strony; pojedyncze gałązki dajemy na ryc. 21—22. Do zapięcia przodów służą jedwabne szmuklerskie pentlice srebrno-popielatego koloru; takiż sznur w pasie.



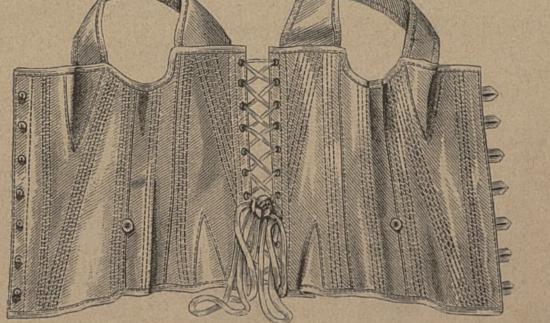
N. 6. Sukieneczka paletocikowa dla dziewczynki lat 5—7. Krój na arkuszu N. III, fig. 12 do 15. Patrz r. 41 w N. 1.

N. 7. Suknia z bluzkowem vêtement, dla panienki lat 11—13.

N. 8. Ubranie dla chłopczyka lat 2—4. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 65—69.



N. 10. Ubranie wizytowe. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—7.



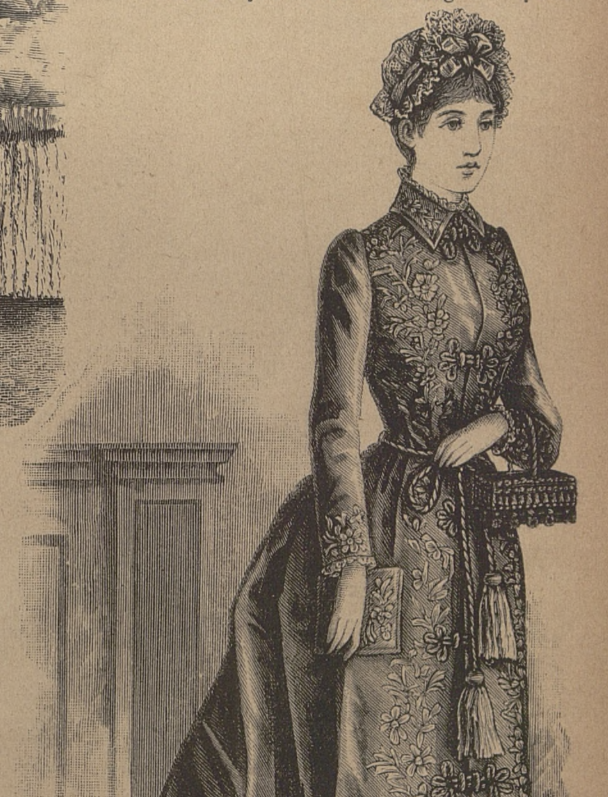
N. 9. Gorset dla panienki lat 8—10. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 70—75.

N. 17. Poduszka pod głowę. Deseń haftn na arkuszu z krojami fig. 43.

Kulista poduszka pod głowę, odpowiednia dla osób lubiących drzemać szarą godziną, składa się z sześciu kwaterek, w końcach szpiczasto ściętych po 32 cent. długich, a 12 w środku szerokich. Trzy kwaterki dane są z popielatej satynki, trzy inne z ponsowego szwajcarskiego perkalu, na tych ostatnich dane pokrycie z ażurowego haftu, odrobionego na popielatej satynce. Na zeszyciu kwaterek wszyte skośne pliski ponsowe, 2 cent. szerokie, wydziergane w ząbki. Fig. 43 daje deseń haftu dzierganego cienką kolorową bawełną (znaczoną D. M. C.) lub fiolzelą; puste miejsca między deseniem zapełnione łatwą kratką. Kokardy z prostego kawałka ponsowego perkalu, 12 cent. szerokiego.

N. 19—20. Woreczek do tytuniu.

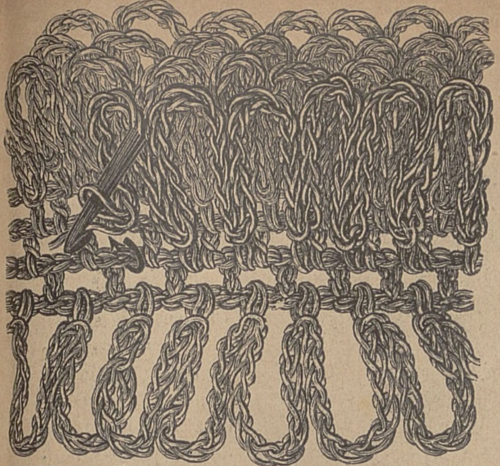
Składa się z czterech kwaterek wyciętych podług ryc. 19, z materyi faille miedzianego koloru, których środkowa długość wynosi



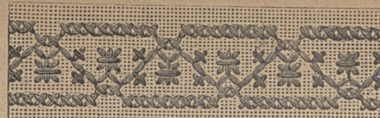
N. 11. Szlafroczek z haftem japońskim. Patrz ryc. 21—22. Krój i plecy na arkuszu N. VII, fig. 36—37.



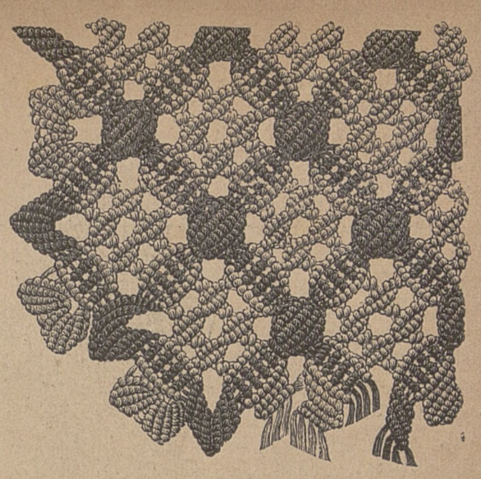
N. 12. Haft sznelowy, do poduszki ryc. 14 w N-rze 1. Deseń patrz fig. 85a—85b.



N. 13. Robota szydełkowa do ryc. 37 w N. 1.



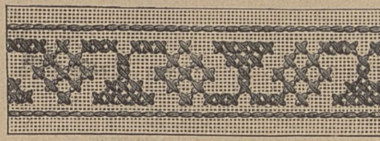
N. 15. Szlaczek krzyżykowy.



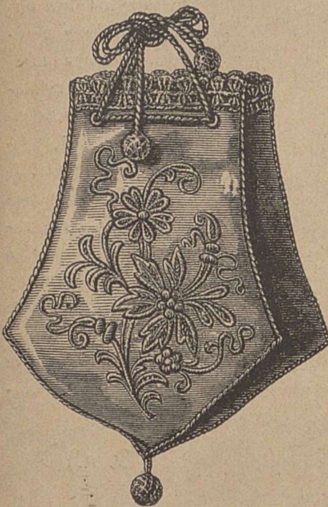
N. 14. Robota wiązana macramé do ryc. 35 w N. 1.



N. 17. Poduszka pod głowę. Patrz deseń fig. 43.



N. 16. Szlaczek krzyżykowy.



N. 19. Woreczek do tytuniu. Patrz haft złotem na ryc. 20.

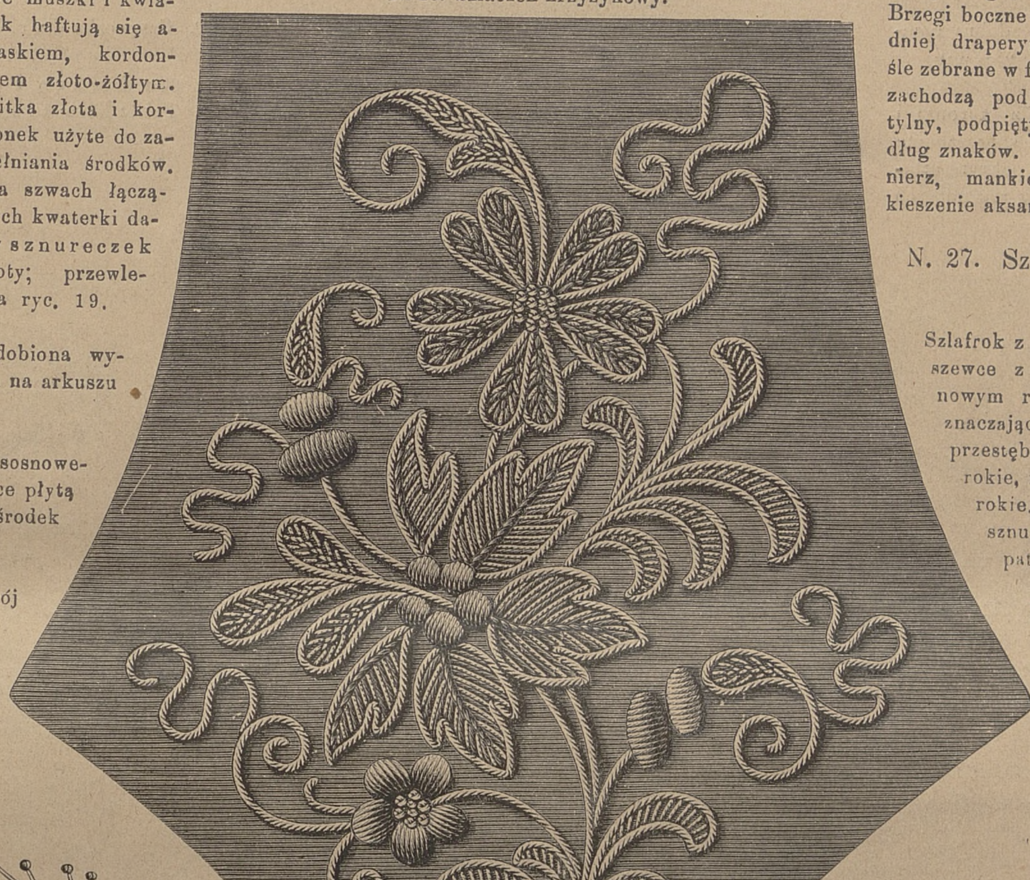
20 cent. wewnątrz woreczek podszyty jest skórą. Dwie kwaterki ozdobione są łatwym haftem złotym, którego deseń w naturalnej wielkości przedstawia ryc. 20. Kontury liści i kwiatów jak również łodyżki i wąsiki wyszyte są złotym sznureczkiem; wypukłe muszki i kwiatek haftują się atłaskiem, kordonkiem złoto-żółtym. Nitka złota i kordonek użyte do zapełniania środków. Na szwach łączących kwaterki dany sznureczek złoty; przewleczenie sznureczka do wiązania objaśnia ryc. 19.

N. 23. Szkatułka drewniana, ozdobiona wyrzynaniem z blachy mosiężnej. Deseń na arkuszu fig. 40a—40b.

Odrobiona z drzewa dębowego lub sosnowego, ozdobiona jest na frontowej ściance płytą mosiężną wyciętą w deseń, którego środek zajmuje tarcza z monogramem.

N. 24—25. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 38.

Rycina 24 przedstawia suknię z materyału gładkiego i w paski, do której vêtement dopasować można podług formy stanika danej pod N. I na arkuszu z krojami i podług fig. 38.



N. 20. Deseń haftu złotem do ryc. 19.



N. 21. Gałązka haftu japońskiego do ryc. 11.



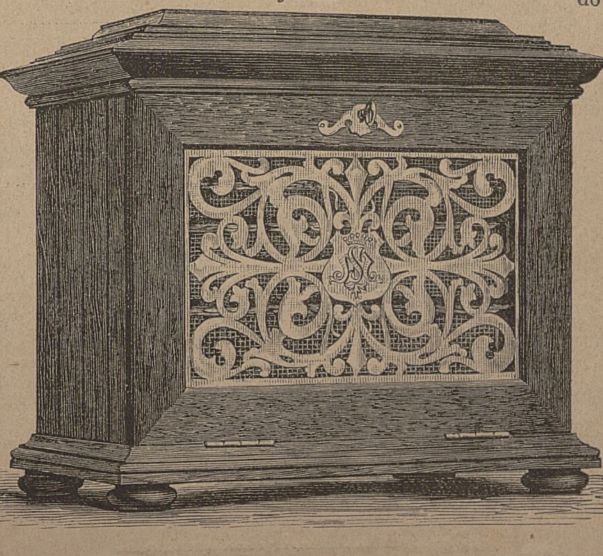
N. 22. Gałązka haftu japońskiego do ryc. 21.



N. 24. Suknia z vêtement. Patrz przód na ryc. 25. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 38.



N. 25. Przód do ryc. 24.



N. 23. Szkatułka drewniana zdobna wyrzynaniem z blachy mosiężnej. Deseń patrz fig. 40a—40b.

Cieniowanie oznacza jak długo sięga podszewka pod przodami i boczkami, materyał zaś zwierzchni z przodu składa się w fałdy na ramionach, a przymarszcza na wcięciu stanu; przez sfałdowanie wierzchu odsłania się podszewka, do której przyszywają się od spodu haftki do zapinania vêtement, a z wierzchu naszywa aksamit podług ryc. 25. Brzegi boczne przedniej draperyi ściśle zebrane w fałdy, zachodzą pod bryt tylny, podpięty podług znaków. Kołnierz, mankiety i kieszenie aksamitne.



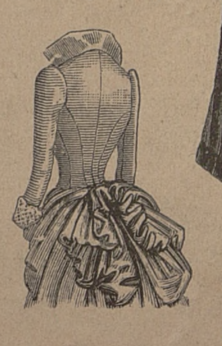
N. 18. Spódniczka dla małej dziewczynki.

N. 27. Szlafrok męzki. Krój i plecy na arkuszu N. XI, fig. 56—60.

Szlafrok z bronzowego jedwabnego repsu, na podszewce z materyi koloru lila, podwatowany jest nowym rodzajem waty jedwabnej japońskiej, odznaczającej się lekkością i ciepłem. Cały szlafrok przestębnowany jest w proste pasy 2 cent. szerokie, mankiety i kołnierz w paski 1 cent. szerokie. Pentlice do zapinania dane z grubego sznura, takiż sznur z boków przytrzymany patkami, związany w pasie.

N. 29. Ubranie spacerowe dla młodej panienki.

Paletocik z bronzowego szewjotu, w kolorowe nitki, wcięty do figury, z tyłu ma przody wolne, spięte z boku jednym rzędem wielkich metalowych guzików. Kieszonki 5 c. szerokie, 12 długie i kołnierz wykładany są z aksamitu. Kapelusz filcowy bronzowy z wysoką szpiczastą główką, ma rondko z przodu wysoko podniesione i w ząb wygięte, podszyte bufiasto namarszczo-



N. 26. Plecy do ryc. 32.



N. 27. Szlafrok męzki. Krój i plecy na arkuszu N. XI, fig. 56—60.

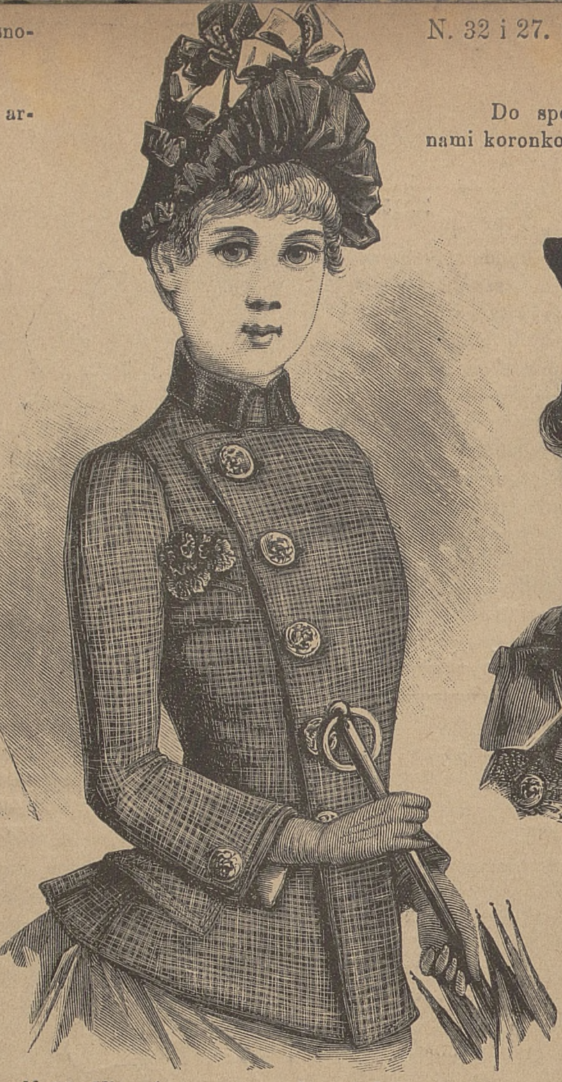
nym aksamitem. Przybranie z aksamitki bronzowej i jasnopiaskowej, przypięte złotemi szpilkami.

N. 31. Ubranie balowe z bawetowym stanikiem. Krój na arkuszu N. IX, fig. 45—51.

Spódnica z blado-różowego tiulu, ogarnirowana u dołu trzema plisowanemi falbankami po 10 cent. szerokiemi, dwie wyższe po 34 cent. szerokie falbany, naszyte plisami atłasowemi po 3 cent. szerokiemi, dane są w ząb odpowiednio do bufiastej draperyi, z boków zebranej à paniers, a z tyłu dopełnionej prostemi brytami. Stanik bawetowy z różowego atłasu, zdobny przybraniem z koronki i marszczonego tiulu, otaczającem wykrój i spuszczonem szpiczasto do bawetu. Rękawki (fig. 51) pokryte atłasem złożonym w trzy fałdy. Bukiety z róż polnych i ciemnych liści.



N. 28. Kapelusik filcowy zdobny pomponami dla małej dziewczynki.



N. 29. Ubranie spacerowe dla młodej panienki.



N. 30. Czapeczka dla chłopczyka.

N. 32 i 27. Suknia wieczorowa z vêtement kwadratowo wyciętem. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 78.

Do spódnicy z czarnego jedwabnego repsu z przodu pokrytej falbanami koronkowemi, włożone vêtement fularowe w guście japońskim, którego wymiar wskazuje fig. 78. Sznurowane przody są podług ryc. 32 przecięte skośnie bawetowo aż do pierwszej zaszewki, na 11 cent. poniżej wcięcia stanu i mają brzeg podszyty wypustką ze sznureczkiem; brzeg dolnej połowy podchodzi pod spód. Draperya tylna podług znaków podszyta materyą i sfałdowana, tworzy sute karoczko widoczne na ryc. 27. Niżej dodany bryt tylny fałduje się podług litery *b*. Kwadratowy wykrój z przodu, dopełniony jest z tyłu wysokim stojącym kołnierzem, podszytym z brzegów drucikiem i pokrytym koronką wywodzoną złotem. Takaż koronka zakończa rękawki.

(*D. n.*)



Ubrania balowe i wieczorowe.

N. 31. Suknia z bawetowym stanikiem. Krój na arkuszu N. IX, fig. 45–51. N. 32. Suknia z vêtement kwadratowo wyciętem. Patrz ryc. 27. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 78. N. 33. Suknia wizytowa z trenem. Krój na arkuszu XIX, fig. 81—82. N. 34. Ubranie wieczorowe z bluzkowym stanikiem.